



W numerze:

4 **Krótką opowieść o trójboisic**

„Szlachetne zdrowie, nikt się nie dowie, jako smakujesz, aż się zepsujesz...” - tymi słowami zaczyna się jakże uniwersalna fraszka Jana Kochanowskiego „Na zdrowie”. Czy dożycie starości w pełnym zdrowiu jest możliwe? A co, jeśli na dodatek wyczynowo podnosimy niewyobrażalne ciężary?

6 **Aladyn... w Sankt Petersburgu**

Ponieważ ostatnimi czasy śniegu jak na złość brak, warto zastanowić się nad podróżą do miejsca, gdzie będzie go po kolana. Szczególnie kuszący jest Petersburg, który zresztą niedawno miałam okazję... odwiedzić. I tak – podróż bez wize, bez paszportu, bez uciążliwych przelotów jest możliwa. Może nie w tak satysfakcjonującym wymiarze, jak można by się tego spodziewać, ale cóż - pandemia każe cieszyć się z małych rzeczy. Więc jak dotrzeć do tego pięknego miasta na wschodzie? Otóż wystarczy obejrzeć „Zimowy romans”.

10 **ZUS nie wystarczy**

Znam sporo ludzi, którym marzy się przejście na emeryturę jeszcze zanim zaczną pracę. Emerytura to w końcu okres spania, odpoczynku i rozwoju własnych zainteresowań (nareszcie!). Ta wizja, szczególnie w głowie licealisty wypalonego przygotowaniami do matury, okienkami i udręczonym porannym wstawaniem, sprawia wrażenie bardzo upojnej. Niestety, jest mało realna. Powiem więcej, nawet w wieku 65 lat może się okazać, że sytuacja emerytalna nie będzie kolorowa. Co można z tym zrobić?

12 **I co powiesz, Bruno?**

Gdybym tylko zechciała nieco uważniej rozejrzeć się dookoła i sprawiedliwie ocenić otoczenie wzrokiem, musiałabym przyznać, że jest przepięknie – ogromne palmy, podrygujące do rytmu fal i niewielkie, żółte kraby patrzące tęsknym wzrokiem na przechodzących w okolicy ludzi, by czmychnąć przed nimi, gdy tylko ci znajdą się zbyt blisko, zdecydowanie miały swój urok.

14 **„The Cassino”**

Przyznaję się bez bicia - nie jestem największym fanem polskiej muzyki. Zdecydowana większość słuchanych i lubianych przeze mnie utworów jest napisana w języku angielskim. Jednak od czasu do czasu zdarzy się, że z tego schematu wyłamuje się jakiś rodzynek - zespół lub wykonawca, któremu udaje się mnie przekonać. I jeden, a właściwie trójka takich właśnie rodzyneków zagrała niedawno koncert we Wrocławiu. I tym doświadczeniem chciałbym się z Wami podzielić.

„Rozmowy liryczne”

– Szkolny Konkurs Poetycki

Z okazji zbliżających się Walentynek jako redakcja „Politechnika Junior” szykujemy dla Was, drodzy Czytelnicy, niespodziankę. Organizujemy pierwszą edycję Szkolnego Konkursu Poetyckiego pod patronatem zespołu polonistów ALO PWr. W konkursie może wziąć udział **KAŻDY** z Was, pisząc i przesyłając nam swój autorski wiersz miłosny!

A teraz kilka spraw organizacyjnych.

Wiersze przesyłajcie na mailu szkolnym do naczelnictwa Politechnika

– do Maksa Skicy (*maksymilian.skica.2019@zsa.pwr.edu.pl*) z klasy 3 C lub Małgosi Wieczorkiewicz (*malo-grzata.wieczorkiewicz.2019@zsa.pwr.edu.pl*) z klasy 3 A.

Termin nadsyłania prac to 23:59 31.01.2022. Waszych wierszy nie może tam zabraknąć! Prace zostaną ocenione przez jury złożone z ekspertów, a wyniki konkursu zostaną opublikowane w lutowym numerze „Politechnika”. Jeżeli nadesłanych prac będzie dość dużo, zostaną one wydane w zbiorowym biuletynie.

Jakie będą nagrody, poza wieczną chwałą w świadomości zbiorowej ALO? Oceny bardzo dobre i celujące z języka polskiego. Bardzo dobre za udział w konkursie, a celujące za zaję-

cie miejsca na podium lub otrzymanie wyróżnienia. Każdy uczeń może przesłać maksymalnie jeden wiersz.

Wiersz ma zostać przesłany w formie edytowalnej (np. w pliku Word). Zalecane formatowanie:

- **Czcionka Calibri**
- **12 punktów**
- **Interlinia 1.2**
- **Wiersz może zajmować maksymalnie dwie strony A4.**

Wiersz należy podpisać swoim imieniem i nazwiskiem oraz klasą, do której chodzicie. Oczywiście, istnieje możliwość, aby wiersz opublikować pod pseudonimem – prosimy o taką informację w mailu oraz o podpis tym pseudonimem w pliku.

Zatem do dzieła!
Redakcja „Politechnika Juniora”

Krótką opowieść o trójboiście

„Szlachetne zdrowie, nikt się nie dowie, jako smakujesz, aż się zepsujesz...” - tymi słowami zaczyna się jakże uniwersalna fraszka Jana Kochanowskiego „Na zdrowie”. Czy dożycie starości w pełnym zdrowiu jest możliwe? A co, jeśli na dodatek wyczynowo podnosimy niewyobrażalne ciężary?

No właśnie - w czasach, kiedy wielu z nas już w młodym wieku narzeka na bóle kręgosłupa i wiele innych dolegliwości, w społeczeństwie spędzającym godziny w gabinetach lekarskich, na zabiegach rehabilitacyjnych i w aptekach zdołał się uchować człowiek będący fenomenem na skalę światową. Jan Łuka, 18-krotny mistrz Polski w trójboju siłowym, skończy w czerwcu tego roku 73 lata, a nadal pozostaje aktywnym zawodnikiem sportów siłowych.

Jak postanowił, tak zrobił

Jan Łuka urodził się 4 lata po II wojnie światowej. Wychował się na wsi i od dziecka był zaangażowany w prace fizyczne. Kiedy miał 10 lat, rozwinęła się jego dziecięca pasja do czytania. Zagłębiając się w magiczny świat książek, poznawał bohaterów literackich, z których najbardziej cenił sobie tych wyróżniających się niesamowitą siłą. W takich właśnie okolicznościach postanowił zostać najsilniejszym człowiekiem na Ziemi. Podążając za marzeniami, w wieku 18 lat zaczął swoją przygodę z ciężarami. Jak sam relacjonuje, po zaledwie miesiącu treningów, podpuszczony przez starszych kolegów, spróbował swoich sił w martwym ciągu. Ku zdziwieniu wszystkich obecnych podniósł 200 kilogramów przy zaledwie 67 kilogramach własnej masy ciała.



Regularność i etyka pracy

Jednym z sekretów sukcesu pana Jana jest niepodważalnie regularność - w swojej ponad 54-letniej przygodzie z ciężarami pan Jan opuścił tylko miesiąc treningów. Najbardziej zaskakujący jest jednak fakt, że te wszystkie lata udało mu się przeżyć bez

żadnych kontuzji, pomimo wyczynowego poddawania się obciążeniom rzędu setek kilogramów. Jego profesjonalne podejście do sportu przejawia się między innymi w pisaniu notatek z każdej pojedynczej sesji treningowej, których w momencie pisania artykułu pan Jan ma ponad 6900! Czyli prawie tyle, ile dni żyje autor tego tekstu!

Rekordy

Wielki talent, końskie zdrowie, profesjonalizm, upór i lata ciężkiej pracy przyniosły mieszkańcowi Sopotu wiele tytułów oraz rekordów świata. Jako jedyny w historii zdobył 18 razy z rzędu tytuł mistrza Polski w trójboju siłowym! Jego siła przyniosła chwałę również na arenie międzynarodowej, gdzie został 5-krotnym mistrzem świata w wyciskaniu, leżąc na ławeczce oraz mistrzem Europy i wicemistrzem świata w trójboju. Rekordy Jana Łuki prezentują się następująco:

- Przysiad 300 kg
- Wyciskanie leżąc 225,5 kg
- Martwy ciąg 340 kg
- Żelazny ciąg 430 kg
- Podciąganie na drążku z obciążeniem 105 kg

Maksyma pana Jana brzmi: „Albo podnoszę, albo ginę w walce”.

Długowieczność

Pomimo 72 lat na karku i tysięcy ton przetrzonego w swoim życiu ciężaru pan Jan wciąż cieszy się pełnym zdrowiem, pozostając aktywnym zawodnikiem. Co więcej, ani razu nie przegrał w swoich koronnych konkurencjach: żelaznym ciągu i podciąganiu na drążku z obciążeniem. W niedawno odbywających się na Węgrzech zawodach Jan Łuka podniósł 230 kilogramów w martwym ciągu, deklasując przeciwników w swojej kategorii wiekowej. Niesamowite jest, do jakich rzeczy zdolny jest organizm pana Jana, ale jego długowieczność w tak wymagającym sporcie to również efekt zaplanowanych rozsądnie ćwiczeń i obciążeń. Stopniowe progresowanie z ciężarami pozwoliło panu Janowi bić rekordy świata w żelaznym ciągu jeszcze w wieku 64 lat.

W tym noworocznym okresie, kiedy to wielu z nas wyrusza na podbój siłowni, chciałbym, abyście zapamiętali słowa pana Jana, niepodważalnego autorytetu w obszarze ćwiczeń siłowych: „Genetyczne uwarunkowania to jedno, po drugie trening nie powinien polegać na tym, że codziennie będziemy podnosić maksymalne ciężary. Trzeba umieć dawkować obciążenie i dawkować regenerację. Niech te słowa przyświecają Wam podczas każdego treningu w tym nowym roku.



**ANTONI
ADAMCZYK
– 3 A**

Aladyn... w Sankt Petersburgu

Ponieważ ostatnimi czasy śniegu jak na złość brak, warto zastanowić się nad podróżą do miejsca, gdzie będzie go po kolana. Szczególnie kuszący jest Petersburg, który zresztą niedawno miałam okazję... odwiedzić. I tak – podróż bez wizy, bez paszportu, bez uciążliwych przelotów jest możliwa. Może nie w tak satysfakcjonującym wymiarze, jak można by się tego spodziewać, ale cóż - pandemia każe cieszyć się z małych rzeczy. Więc jak dotrzeć do tego pięknego miasta na wschodzie? Otóż wystarczy obejrzeć „Zimowy romans”.

Nie ukrywam, że moje serduszko się cieszy za każdym razem, kiedy dzięki filmom mogę wrócić do Sankt Petersburga. Co ciekawe, taka romantyczna podróż „korytarzem kinematografii” w ogóle nie byłaby możliwa, gdyby nie wigilijny wieczór, znudzenie Kevinem (wiem, herezja) i chęć obejrzenia czegoś świeżego. No i oczywiście tytuł – „Dawno temu w Petersburgu”. Czyli że ten film funkcjonuje pod dwoma tytułami? Błąd, trzema. A to może wprowadzić lekkie zamieszanie, tym bardziej, że ofi-

cialny zagraniczny tytuł to „Srebrne łyżwy” – najbardziej adekwatny, ale nie oszukujmy się: bez nazwy sugerującej miejsce akcji nawet nie przełączyłabym kanału.

Początek końca imperium

Zatem wiadomo już, że akcja toczy się w Petersburgu, ale czy tak dawno? Otóż to jest kwestią sporną, ponieważ reżyser, Michael Lockshin, zabiera nas do Rosji z przełomu XIX i XX wieku, czyli imperium ostatniego cara, Mikołaja II. W świecie, gdzie można

odczuć pierwsze oznaki chylenia się cesarstwa ku upadkowi, rozgrywa się baśniowa przygoda, niejednokrotnie przypominająca historię Aladyna przeniesioną w realia pięknego miasta skutego lodem i przysypanego śniegiem. W rzeczywistości jest to luźna adaptacja powieści amerykańskiej pisarki Mary Mapes Dodge pt. „Hans Bin-





ker, czyli srebrne łyżwy”. Jest to historia ubo-
giego holenderskiego chłopca, Hansa, który
razem z siostrą postanawia wziąć udział w
konkursie łyżwiarskim.

A jak jest w rosyjskiej, filmowej wersji?

Osiemnastoletni Matwiej (w tej roli Fiodor Fiedotow, aka rosyjski Tom Holland) jest synem ubożego latarnika i jego jedynym skarbem, przekazywanym z pokolenia na pokolenie w rodzinie, są srebrne holenderskie łyżwy. A te stanowią w zimowym Petersburgu najszybszy środek lokomocji. Życie tętni tam na zamrożonych kanałach Newy i rzeka zmienia się w zwykłą ulicę. W połączeniu z niezwykłym talentem chłopaka łyżwy umożliwiają mu dobry zarobek – jest najlepszym gońcem w znamienitej petersburskiej cukierni. Pewnego dnia z powodu zamknięcia mostu nie może dotrzeć z zamówieniem na czas, przez co traci pracę. Jego talent zostaje dostrzeżony przez herszta bandy złodziei, grasujących na odbywającym się na rzece jarmarku. Matwiej, zachęcony perspektywą szybkiego zarobku i możliwością leczenia w Niemczech chorego na gruźlicę ojca, postanawia dołączyć do rzezimieszków.

Dwa światy

Tymczasem hrabianka Alissa (Sonia Priss), córka carskiego ministra, zaczyna mierzyć się ze swoją rolą w świecie nieprzystajnym kobietom. Podczas gdy oczekuje się

od niej dobrego zamążpójścia, dziewczyna woli uczyć się chemii pod okiem angielskiej nauczycielki. Ostro sprzeciwia się temu ojciec dziewczyny. Również zaaferowana astrologią i okultyzmem macocha nie popiera feministycznej postawy młodej arystokratki, twardo stąpającej po ziemi i pragnącej w końcu uwolnić się spod kurateli ojca. Pewnego wieczora za namową służki hrabianka postanawia sobie powróżyć z lustra – według tradycji, chłopak, który ukaże się jej w odbiciu, jest jej przeznaczony. Dziewczyna jest bardzo sceptycznie nastawiona do przesądu, ale, o ironio losu, wróżba spełnia się, bo w tym samym momencie Matwiej próbuje się włamać do pałacu Wiazemskich przez balkon. A ten prowadzi oczywiście do pokoju Alissy. Tak przebiega pierwsze spotkanie głównych bohaterów – włamywacza i arystokratki, która w pierwszej chwili ma ochotę go wydać strażom.

Wkrótce na scenę wkracza hrabia Arkadii, idealny kandydat na męża córki ministra, zaprzysięgły wróg rzezimieszków z lodowego jarmarku. Należy tu zaznaczyć, że on też świetnie jeździ na łyżwach, jednak córka ministra nie ma zamiaru wziąć z nim ślubu.

Splotem wydarzeń Alissa i Matwiej dobijają targu – dziewczyna nie wyda go w ręce oficera, jeśli łyżwiarz będzie udawał jej męża przed komisją egzaminacyjną na studia chemiczne. Oboje stają się swoimi zakładnikami.

Starorús w XX wieku

Po seansie, podczas którego przeżyłam wiele wybuchów euforii oraz kilka chwil grozy w trosce o życie bohaterów, pomyślałam z radością: „Jakie to jest świeże!”. Można zadać pytanie, w jaki sposób baśniowe założenia świata przedstawionego (szczególnie podział na dobro i zło) mogą wносить coś nowego do kinematografii. Uwaga – o ile „Zimowy romans” przypomina ckliwą bajczkę, w rzeczywistości jest baśnią, mimo kilku odstępstw od tego gatunku. Owszem, akcja nie rozgrywa się w mitycznej krainie za siedmioma górami, czy nawet w oklepanym Londynie lub Nowym Jorku w XXI wieku. Twórcy zabierają nas jednak do bajecznej Rosji z

go romansu” naprawdę odpoczęłam. Owszem, byłam w stanie przewidzieć niektóre punkty zwrotne w akcji, jednak było tam też dużo niespodzianek, wyskakujących znieznacka jak pozłacane upominki z jajek Faberge. Okazywało się, że nie wszystkie postacie odpowiadały sztywnemu podziałowi na dobro i zło – szczególnie zasługuje tu na uwagę konstrukcja postaci herszta złodziei, Alexa. Nie można tu zatem mówić o ckliwym romansie dla niewymagającego klienta Netflix. Debiut filmowy Michaela Lockshina, który wychował się w USA i w Rosji, zasługuje na uwagę – przede wszystkim nie zanudzi utartymi schematami, z lubością powtarzanymi przez reżyserów amerykańskich



czasów Mikołaja II (choć to połączenie wydaje się co najmniej absurdalne). Petersburg wygląda jak ze snu o starorusi – są sobory, są nasycone cukierkowe barwy jak w „Dziadku do orzechów” wystawianym w Teatrze Michajłowskim. Jest nawet bal stylizowany na epokę Aleksego I (a taki miał faktycznie miejsce na carskim dworze). A co do samej fabuły...

Odtrutka po Paryżu

Po tym jak w jeden dzień w ramach „odcięcia się” od szkoły obejrzałam drugi sezon „Emily w Paryżu” i byłam nim okropnie zmęczona, podczas oglądania „Zimowe-

świętecznych komedijek romantycznych. Są mistyczne intrygi, są pościgi, są wybuchy (nie tylko w przerośni!). I jednocześnie jest baśniowo. Za stworzenie odświeżającego, przygodowego romansu dla młodzieży naprawdę należą się brawa.

Wspaniały świat?

W „Zimowym romansie” Alissa i Matwiej przeprowadzają widza przez dwa różne miasta – a raczej przez blaski i cienie Petersburga z początku XX wieku. Hrabianka żyje w dostatku, w świecie wystawnych balów i przyjęć. Ma wszystko, czego zapragnie, poza możliwością studiowania, co sprawia, że dziewczyna czuje się jak w klatce. Z ko-

lei Matwiej również nie jest wolny, choć namiastkę swobody dają mu łyżwy. Czuje się przytłoczony chorobą ojca oraz wyborami, których musi dokonywać.

Scena, w której chłopak obiecuje córce ministra podróż pod prawdziwym Petersburgu, przypomina mi trochę fragment z „Aladyna”, kiedy bohaterowie na latającym dywanie przemierzają wspaniały świat. Jednak tutaj „wspaniały świat” jest raczej nieznaną hrabianką, zubożałą stolicą, gdzie ludzie mieszkają w ciasnych, ciemnych pokojach i wóczą się po rozpustnych knajpach, w których co inteligentniejsi proletariusze z nadzieją czytają Marksa.



Faktycznie, trochę jak w klatce

Jeżeli chodzi o samą przestrzeń zaprezentowaną w filmie, mam do niej trochę zastrzeżeń. Sankt Petersburg, ogromne miasto osadzone na wyspach, z dużą liczbą pałaców, parków i soborów, zostało tu ograniczone do raptem kilku lokacji – (o ile mnie oko nie myli) pałacu Szeremietiewów, zamku Michajłowskiego, Monasteru Smolnego, Soboru św. Izaaka w tle, domu towarowego Au Pont Rouge, kilku kanałów oraz statku, który jest

bazą złodziejasków. To sprawia, że Petersburg dla nieobeznanego z nim widza może się wydać niewielkim miastem na prowincji, co prawdą nie jest. Niestety, filmowa stolica wydaje się ciasna mimo kilku ujęć z lotu ptaka – a to na pewno stanowi wadę filmu. Nie można jednak odmówić zdjęciom bajkowości plenerów i ich malowniczości, co nieco rekompensuje wybiórcze potraktowanie tak pięknej przestrzeni miejskiej o ogromnym, niewykorzystanym potencjale (a szkoda!).

Wielkie nadzieje i wielkie przygody

„Srebrne łyżwy” Michaela Lockshina to jego pierwszy film. Drugim, zapowiedzianym na koniec 2022 roku jest „Woland”, czyli luźna interpretacja „Mistrza i Małgorzaty”. Zdjęcia z planu wyglądają obiecująco, tym bardziej że w roli tytułowego szatana został obsadzony niemiecki aktor, Jakob Diehl, znany z roli Bezimienego w serialu „Dark”. Wystarczy poczekać, a może już niedługo zostaniemy zaproszeni na iście diabelski bal?

„Zimowy romans” to idealny film na piątkowy, pozbawiony śniegu wieczór. Bo nawet jeżeli doskwiera wam brak typowej, styczniowej atmosfery, wystarczy wyobrazić sobie, że wkładacie na nogi łyżwy i ruszacie w pościg pod skutej lodem, bajkowej Newie. Kto wie – być może i Wy, przeglądając się w zamrzniętej tafli rzeki, wywróżyte sobie spotkanie z osobą, która odmieni Wasze życie?

MAŁGORZATA WIECZORKIEWICZ – 3 A

ZUS nie wystarczy

Znam sporo ludzi, którym marzy się przejście na emeryturę jeszcze zanim zaczną pracę. Emerytura to w końcu okres spania, odpoczynku i rozwoju własnych zainteresowań (nareszcie!). Ta wizja, szczególnie w głowie licealisty wypalonego przygotowaniami do matury, okienkami i udręczonego porannym wstawaniem, sprawia wrażenie bardzo upojnej. Niestety, jest mało realna. Powiem więcej, nawet w wieku 65 lat może się okazać, że sytuacja emerytalna nie będzie kolorowa. Co można z tym zrobić?



ZUS nie wystarczy?

Czynniki takie jak malejący przyrost demograficzny, powolne bogacenie się społeczeństwa i nieskuteczna polityka społeczna sprawiają, że mamy coraz większe wątpliwości co do możliwości utrzymywania się na starość tylko i wyłącznie ze świadczeń wypłacanych w ramach systemu ubezpieczeń emerytalnych.

Emeryci są, w pewnym uproszczeniu, utrzymywani ze składek ZUS płaconych przez osoby pracujące. Jeśli w przyszłości proporcja niepracujących do pracujących drastycznie wzrośnie (a wszystko na to wskazuje), może się okazać że na jedną osobę pracującą przypadnie, dajmy na to, trzech emerytów do utrzymania. Kłopotliwe. Efektem będzie zmniejszenie wypłacanych emerytur, a co za tym idzie – spadek poziomu życia.

Katastrofa?

Niekoniecznie. Seniorzy w słabej sytuacji finansowej nie będą mieli innej możliwości niż powrót do pracy. Opierając swoją strategię emerytalną wyłącznie na świadczeniach publicznych, należy się psychicznie przygo-

towywać na taką ewentualność, że comiesięczny przelew z ZUS-u nie wystarczy na pokrycie wszystkich wydatków i zmusi do podjęcia aktywności.

Fotel bujany staje się biurowym

To nie tragedia – współcześnie rozwijają się opcje pracy dorywczej dla osób starszych, powstają korzystne rozwiązania podatkowe, a pracodawcy zaczynają doceniać doświadczenie i kulturę pracy seniorów. Coraz więcej osób starszych decyduje się też na własną działalność gospodarczą. Osobiście nie jestem w stanie sobie wyobrazić, że moje życie po sześćdziesiątce przeniesie się wyłącznie na bujany fotel przed telewizorem i z chęcią przeznaczyłbym część czasu wolnego na pracę.

Z drugiej strony, aktywność zawodowa na emeryturze będzie znacznie ciekawsza i bardziej pociągająca, jeśli nie będziemy do niej finansowo zmuszeni. Ciężko przewidzieć także własną kondycję psychofizyczną za pół wieku i wartość na rynku pracy. A jeśli będziemy chcieli przestać pracować w pełnym wymiarze godzin szybciej niż w wieku 65 lat? A może wypalimy się tak bardzo, że będziemy marzyć tylko o dozgonnym urlopie na Szeszelach? Albo będziemy chcieli pozostawić po sobie jakiś majątek, na przykład dla swoich potomków albo jako darowiznę na fundację charytatywną? To tylko kilka powodów, dla których warto rozważyć oszczędzanie na emeryturę we własnym zakresie. Warto.

Wysokoprocentowo

Ponadprogramowe oszczędzanie na emeryturę musi opierać się na kilku intuicyjnych (ale często łamanych zasadach), aby było skuteczne. Najważniejszą z nich jest, aby oszczędzane pieniądze inwestować. Należy wykorzystać takie możliwości inwestycyjne, których poziom ryzyka odpowiada naszej sytuacji i potrzebom. Dla osiemnastolatka poziom ryzyka inwestycyjnego zazwyczaj będzie znacznie wyższy niż w przypadku pięćdziesięciolatka i trzeba o tym pamiętać.

Ludzie mają skłonność do podejmowania zbyt dużego ryzyka w przypadku inwestycji okazjonalnych, a w przypadku regularnych inwestycji dokonywanych pod kątem emerytury, kiedy horyzont inwestycyjny jest przecież bardzo odległy, podejmują ryzyko niedoszacowane. Objawia się to na przykład odkładaniem pieniędzy w formie gotówki albo na lokatach bankowych o pomijalnym oprocentowaniu. To błąd. Procent składany w przypadku długoterminowego oszczędzania ma potężny wpływ na rezultat, o czym łatwo przekonać się po kilku excelowych kalkulacjach.

Szybciej, więcej, regularniej

Procent składany charakteryzuje się jeszcze jedną własnością – im szybciej zaczniemy oszczędzać, tym więcej będziemy mieli pieniędzy. Znacznie więcej. Różnicę robi kapitał z odsetek, który generuje kolejne odsetki, które także są oprocentowane i tak dalej. Nasz mózg generalnie słabo radzi sobie z przetwarzaniem abstrakcji takich jak duże liczby albo zależności wykładnicze, a więc przygotowałem dla Was wizualizację problemu.

$$V = V_0 \cdot (1 + r')^n \quad r' = \frac{r - i}{1 + i}$$

Bądź jak Alicja!

Alicja i Bob chcą zbierać jak największy kapitał na swoją emeryturę, a więc zakładamy że kończą odkładać pieniądze w wieku 65 lat. Alicja na emeryturę odkłada 200 zł miesięcznie, zaczynając od miesiąca w którym obchodziła swoją osiemnastkę. Bob

trochę się zagapił, ale w wieku 35 lat zaczął oszczędzać 500 zł miesięcznie. Kto w wieku 65 lat będzie miał więcej pieniędzy?

Przyjmując pewne wysoce prawdopodobne założenia odnoszące się do przyszłych stóp zwrotu z rynków finansowych, okazuje się że będzie to Alicja, która zaoszczędzi finalnie 504 906 zł (dla Boba będzie to 443 297 zł). Jednocześnie warto zauważyć, że Alicja wpłaciła łącznie tylko 112 800 zł, a Bob aż 180 000 zł. Uwzględniając inflację i kolejne założenia, powinno się to przełożyć na odpowiednik dzisiejszego tysiąca złotych miesięcznie, wypłacany od 65 roku życia do śmierci. To nadal niewielkie pieniądze, ale z pewnością pozwolą Alicji żyć na znacznie wyższym poziomie i z większym spokojem finansowym niż Bob.

Oszczędzaj

Właśnie dlatego absolutnie kluczowe jest szybkie rozpoczęcie inwestycji i regularne oszczędzanie pieniędzy na emeryturę. Większość licealistów dostaje kieszonkowe, stypendia, pieniądze od dziadków. Warto już teraz rozpocząć oszczędzanie i ustalić sobie kwotę, którą co miesiąc będziemy przelewać na dedykowane konto.

Nawet jeśli będzie to kwota odpowiadająca dwóm dużym latte ze Starbucksa, zainwestowana odpowiednio wcześniej pozwoli osiągnąć znaczną przewagę w przyszłych zmaganiach finansowych. W następnym numerze „Politechnika Juniora” przybliżę Wam praktyczne rozwiązania inwestycyjne i podatkowe, które czynią samodzielne oszczędzanie na emeryturę znacznie korzystniejszym.

MAKSYMILIAN SKICA – 3 C



„I co powiesz, Bruno?”

„Sen i my z jednych złożeni pierwiastków;
żywot nasz krótki w sen jest owinięty...”

– William Shakespeare

„Czyż życie nie jest snem,
który się śni we śnie?”

– Edgar Allan Poe

Gdybym tylko zechciała nieco uważniej rozejrzeć się dookoła i sprawiedliwie ocenić otoczenie wzrokiem, musiałabym przyznać, że jest przepięknie – ogromne palmy, podrygujące do rytmu fal i niewielkie, żółte kraby patrzące tęsknym wzrokiem na przechodzących w okolicy ludzi, by czmychnąć przed nimi, gdy tylko ci znajdą się zbyt blisko, zdecydowanie miały swój urok.

Jednak jedyne rzeczy, o których wtedy myślałam, to były kropelki potu, ściekające mi po czole, ku ucieście pomarańczowego słońca, wiszącego tuż nad naszymi głowami i złość na własny pomysł, by założyć japonki na długi spacer – skończyło się to niejednym potknięciem i licznymi siniakami. Byłam też lekko rozczarowana, że porzucamy bezpieczny i znajomy pokład statku, na rzecz przyjrzenia się bogato zdobionym hotelowym wnętrzom, dopasowanym pod turystów, a więc pozbawionym jakiegokolwiek charakteru czy uroku kulturowego. Niestety, „Szeł” tak zdecydował, a ja nie miałam zbyt wiele do powiedzenia, więc posłusznie stawiałam krok za krokiem, patrząc smętnie pod nogi i tęskniąc do czegoś nieokreślonego i bardzo odległego, czego nie mogło wynagrodzić mi nawet otoczenie.

Ponury nastrój, który kazał mi zwiesić głowę w dół końcowo okazał się być zbawienny, gdyż dzięki niemu zauważyłam tłuściutką, niewielką „kresczkę”, sunącą prędko w moją stronę, przy jednoczesnym zarysowaniu wymyślnych szlaczków na ziemi. Cóż,

gdy mawiam, że lubię być blisko natury, nie mam zwykle na myśli obcowania z egzotycznym robactwem, więc skrzywiłam się lekko i zesłam z drogi małemu stworkowi tylko po to, by zauważyć, że podążają za nim jego pobratymcy. Cierpliwie omijałam cały robaczy ród, podążając jednocześnie za Tatą w stronę zbliżających się w naszą stronę hotelowych drzwi. Na szczęście dotarliśmy do nich całkiem szybko, po czym, zgodnie z panującymi zasadami, zdjęliśmy buty i już zamierzaliśmy wkroczyć do środka na mały „rekonesans”, gdy z niesmakiem zauważyłam, że dziwnym dżdżownicom jednak udało się mnie przechytrzyć – kilka z nich zaanektowało jeden z moich kłapek i zaczęło tworzyć w nim dla siebie przytulny kącik. Sfrustrowało mnie to nieco, postawiłam jednak na „zawieszenie broni”, więc tylko rzuciłam im groźne spojrzenie i przekroczyłam hotelowy próg, podążając za pomysłodawcą „wyprawy”.

Oczywistym wydało nam się, by ominąć recepcję, bez specjalnego przyglądania się czerwonym holom i przekroczyć wszelkie





drzwi i klatki schodowe, oddzielające nas od dachu budynku. Jak się okazało, to właśnie on był naszym celem, choć nie miałam pojęcia, skąd we mnie ta pewność. Droga była nam jednak dobrze znana i w przeciągu paru chwil, które równie dobrze mogły być sekundami, nasze bose stopy stanęły na jasnych płytkach, które zwykle spotkać można na terenie basenów, a które tym razem okalały szczyt budynku. Po chwili nabrało to więcej sensu – na „dachu” znajdowały się również dwa niewielkie, kwadratowe zbiorniki wodne, jednak mającymi one daleko przed nami, a że nasza droga prowadziła przez wilgotny od wody teren, wszędzie pełno było nieco większych kuzynów żyjątek, które podprowadziły nas wcześniej aż pod sam próg hotelu.

Uzgodniliśmy, że wejdziemy do wody, by się schłodzić, a wszelkie przeszkody, w postaci paskudnego robactwa, pokonamy w spokojny sposób, po prostu je wymijając. Plan zdawał się działać przez całe pięć sekund – po tym czasie zorientowałam się, że larwy faktycznie niespecjalnie zwracają uwagę na mego Ojca, jednak na mnie rzucają się z naturalną euforią niewiadomego pochodzenia, a co gorsza – na horyzoncie pojawiają się coraz większe czerwce, niektóre nawet wielkości owczarka niemieckiego! Wtedy poczułam niepokój i nagły przyływ adrenaliny, które miały mi towarzyszyć aż do samego końca...

Dzielnie szłam przed siebie, zwinnie omijając co paskudniejsze robale, w coraz to bardziej wymyślnych barwach. Nawet nie było to specjalnie trudne, mimo to ciągle towarzyszył mi lęk, że nieopacznie otrę się o włochatą skórę jednego z nich, który powodował we mnie odruch wymiotny. Żeby jednak nie było tak prosto, czerwce postanowiły zrobić mi „uroczą” niespodziankę - zaczęły wynurzać

się nagle spod basenowych kafelek i wyskakiwać do góry jak delfiny, by wesoło trącić mnie nosem. Straciłam wtedy resztki poczucia bezpieczeństwa i przyspieszyłam kroku, by w końcu zacząć biec na oślep przed siebie, obojętna na to, co mnie czeka. Na mojej drodze pojawiło się jeszcze kilkanaście pokracznych larw i parę ogromnych, plastikowych ryb, ale w końcu udało mi się dobiec do pierwszego z dwóch brodzików. Okazał się on niestety być otwartym kąpieliskiem dla egzotycznych żyjątek, które wcześniej bawiły się ze mną w berka, więc poszłam w stronę drugiego basenu, gdzie już czekał na mnie Tata. Zerkał on z zaciekawieniem w stronę przezroczystej wody i kąpiących się w niej beztrudnie dzieci, które mi przypominały wynajętych celowo do tej roli statystów. W końcu przeniósł wzrok na mnie i zasugerował, że powinnam do nich dołączyć. Bardzo nie spodobał mi się ten pomysł – bałam się, że natrafię w środku na kolejne okazy bogatej fauny wyspy, a tego wolałam uniknąć. Ponowił swoją propozycję jeszcze parę razy, aż w końcu podniósł głos i uczynił ją rozkazem. Kiedy gwałtowniej zaprotestowałam, zaczął się ze mnie śmiać, co bardzo mnie zirykowało i postanowiłam, że dowiodę swojej odwagi.

Powoli zanurzyłam się w wodzie, wypatrując potencjalnych zagrożeń, aż w końcu dotarło do mnie, że wszystkie żyjątka pływają na powierzchni zbiornika, postanowiłam więc wejść nieco głębiej i zanurkować. Gdy tylko moja twarz znalazła się pod powierzchnią błękitnej cieczy, dostrzegłam niewielkiego czarnego pająka o nienaturalnie długich odnóżach i zaczęłam powoli opadać na dno, by w końcu do niego dołączyć...

EMILIA RYNKIEWICZ – 3 A



„The Cassino”

Przyznaję się bez bicia - nie jestem największym fanem polskiej muzyki. Zdecydowana większość słuchanych i lubianych przeze mnie utworów jest napisana w języku angielskim. Jednak od czasu do czasu zdarzy się, że z tego schematu wyłamuje się jakiś rodzynek - zespół lub wykonawca, któremu udaje się mnie przekonać. I jeden, a właściwie trójka takich właśnie rodzynek zagrała niedawno koncert we Wrocławiu. I tym doświadczeniem chciałbym się z Wami podzielić.

SŁOWEM WSTĘPU

Zespół „The Cassino”, bo to o nim mowa, to trio założone w 2013 roku w Braniewie. W skład zespołu wchodzi: gitarzysta i wokalista Hubert Wiśniewski, basista Michał Badecki oraz perkusista Piotr Dawidek. Nazwa zespołu wzięta się od starego, wojskowego kasyna, w którym grupa stawiała swoje pierwsze kroki. W 2016 roku wystąpili w programie „Must Be The Music” z utworem „Coming Down”. Do tej pory wydali 3 EPki - „Zima”, „Glass and Styrofoam” i „The Cassino” oraz album studyjny „Części”, który jest promowany trwającą obecnie trasą koncertową.

INSPIRACJE

Styl muzyczny „The Cassino” jest bardzo interesujący, ponieważ słycać w nim nowo-

czesne, znane z lat 2000 brzmienia ze sceny indie i alternatywnej, jak również wyraźne korzenie bluesowe i funkowe, którym bliżej raczej do okresu lat 60. Najwięcej jestem w stanie powiedzieć oczywiście o grze Huberta Wiśniewskiego. Jego styl gry jest bardzo charakterystyczny dla gitarzystów grających w mniejszych zespołach - duetach, triach - w których jako jedyni gitarzyści w zespole muszą łączyć melodię i grę rytmiczną. Takie podejście możemy zaobserwować przede wszystkim u Jimiego Hendriksa, Erica Claptona czy Johna Frusciante z Red Hot Chili Peppers. Ten ostatni szczególnie przychodzi mi na myśl, gdy słyszę gitarę w „The Cassino”. Częste granie akordami, wykorzystywanie wyższych części gryfu, mocno inspirowany funkiem styl gry oraz „hendrixowskie” ubarwienie granych akordów - wszystko to słycać bardzo wyraźnie zarówno w grze Huberta, jak i Frusciante. Samo brzmienie gitary wydaje się być niezwykle zbliżone do brzmienia Frusciante czy Hendriksa - typowa „szklanka” charakterystyczna dla gitary typu stratocaster, na której gra Hubert. Do tego większa lub mniejsza ilość przesteru oraz niezwykle dynamika gry - ciche, spokojne, czyste brzmienie za sprawą mocniejszego uderzenia kostką nabiera mocy i charakteru. Wspomniana wcześniej dwójka przychodzi na myśl również w grze solowej Huberta - zamkniętej raczej w bluesowych ramach, niezwykle agresywnej i dalekiej od sterylnej perfekcji, ale za to pełnej szczerych, mocnych emocji. No i oczywiście efekt wah - chociaż używany przez wielu gitarzystów, to w tym przypadku jeszcze bardziej przychodzi na myśl Hendriksa.



STYL

Tak jak wyżej pisałem, styl muzyczny „The Cassino” jest wypadkową inspiracji z różnych źródeł. Powoduje to, że chociaż znajomy, jest on również niezwykle świeży. Dużą rolę w tym odgrywa głos Huberta i to, jak on go wykorzystuje. Interesująca, ale jednocześnie dość polaryzująca jest jego dykcja. Hubert ma bardzo wyraźną dykcję, gdy śpiewa (szczególnie po polsku), jednak ma również skłonność do charakterystycznego akcentowania końcówek. Najlepiej to chyba słyszeć w zwrotkach utworu „Nie w tym mieście”. Jest to o tyle ciekawe, że choć bardzo rozpoznawalne, może dla części słuchaczy być dość irytujące. Wiem, bo sam na początku nie do końca byłem przekonany do takiej praktyki. Kolejnym elementem, który zwraca uwagę jest sposób przechodzenia w najwyższe dźwięki, w głos głowowy. Jest on o tyle dla mnie ciekawy, że w większości przypadków ma to miejsce na jeden, dwa dźwięki, po czym melodia wraca z powrotem na dół. Brzmi to przez to prawie jak załamanie głosu, voice crack - coś, co raczej w śpiewaniu wydaje się niepożądane. Jednak w tym kontekście brzmi to fenomenalnie, szczególnie, że każdy z tych „voice cracków” trafiony jest idealnie w dźwięk. Na uwagę zasługują również teksty piosenek, pisane przez Huberta. Są one osobiste (jak sam wspomniał na koncercie) oraz bardzo metaforyczne - rzadko kiedy jest w nich coś powiedziane wprost. Powoduje to, że przypominają trochę wiersze, które można analizować na różne sposoby, przez co więcej osób może się z nimi utożsamiać.

KONCERT

Zespół grał we Wrocławskim klubie „Akademia”. Była to część wciąż trwającej, ogólnopolskiej trasy koncertowej promującej ich debiutancki album „Części”. Oczekiwanie na zespół było, niestety, nieco przedłużone, no ale jakkolwiek koncert w historii odbył się na czas? Raczej nie. Kiedy już jednak zespół wszedł na scenę i zaczął grać, było wiadomo, że to będzie naprawdę dobry koncert. Przede wszystkim widać było, że zespół - a szczególnie Hubert - bardzo dobrze czują się na scenie. Czasami na koncertach mniej znanych zespołów nie czuć w ogóle energii,

atmosfera wydaje się spięta - a to dlatego, że zespół nie jest przyzwyczajony do bycia na scenie, czuje się niepewnie. Tutaj było tego dokładne przeciwieństwo. Członkowie zespołu zachowywali się jak światowe gwiazdy. Widać było, że muzyka nie jest dla nich koniecznością, pracą, biznesem - jest dla nich pasją i zabawą. Dlatego przez cały koncert na scenie, a także pod nią, panowało szaleństwo. Co prawda Michał i Piotr byli oczywiście nieco wycofani. Hubert jednak, jak na frontmana przystało, szalał na całego. Skakał po scenie, parokrotnie prawie się wywrócił, wchodził na barierki z boku sceny, schodził z niej i grał solo otoczony przez ludzi. Wielokrotnie pochylał się do publiki. Między utworami opowiadał anegdotki. Kontakt zespołu z publiką był naprawdę świetny i, co istotne, bardzo naturalny. A szczególnie widać go było w utworze „Nie w tym mieście”, w którym refreń śpiewali fani - słyszeć było, że „The Cassino” ma prawdziwych fanów, którzy znają teksty piosenek na pamięć, chociaż nie są wcale bardzo znani. A ponadto, przy całym wspomnianym szaleństwie, zespół wcale nie stawiał formy nad treścią. Utwory grane na koncercie, zarówno nowe, jak i starsze, brzmiały identycznie, lub czasem nawet lepiej, jak na płycie. Widać i słyszeć było niezwykle umiejętności, bo każdy, kto grał kiedyś w zespole wie, ile godzin prób trzeba poświęcić, by z taką łatwością i kunsztem zagrać na żywo.

NA KONIEC

„The Cassino” odkryłem przypadkiem, jak tylko można było - przez polecenie od kogoś, kto odkrył ich również przypadkiem. Jest to jeden z tych zespołów, któremu z jednej strony życzy się sławy, a z drugiej chce się go zachować dla siebie. Ja wybiorę tą pierwszą - i dlatego piszę ten artykuł. Bo nie wiem, jakim cudem ta grupa nie jest jeszcze w radiu. Bo muzyka, którą grają jest jakości światowej. Dlatego zachęcam cię, drogi czytelniku - wejdź na Spotify, albo Youtuba, albo gdziekolwiek; tam słuchasz muzyki - i daj temu zespołowi szansę. Jest duża szansa, że nie pożałujesz.

BARTOSZ KACZMAREK – 3 A

Co dalej?

Posiadamy już gotowe wizje i wiemy, dokąd chcemy zmierzać - gdyby się uprzeć, na tym możnaby zakończyć ćwiczenie, bo i tak otworzyło nam oczy w dość dużym stopniu. By jednak kontynuować naszą pracę nad Vision Board, każde z wykreowanych przez nas wyobrażeń dzielimy na listę konkretnych kroków, które trzeba podjąć oraz na galerię, znalezionych w „zbiorach prywatnych” lub internecie, ilustracji, które są jak najbliższe tym powstałym w naszej głowie. Ze sklejonych razem obrazów tworzymy motywacyjną tablicę, która na co dzień będzie przypominała naszej podświadomości, do czego dążymy, a spisane przez nas zadania możemy podzielić na dwanaście czekających nas w tym roku miesięcy i voilà - wszystko gotowe!

Drobna rada

Cały koncept Vision Board ściśle wiąże się z faktem, iż nasza podświadomość nieustannie pracuje, wykorzystując wszystko to, z czym mamy na co dzień do czynienia i przynosi nam pomysły oraz odpowiedzi, które zdają się pojawiać znikąd. Bardzo dobrym sposobem na wzmocnienie tego efektu jest zadawanie sobie pytań (jakkolwiek niemądrze może to brzmieć), bez skupiania się na nich - przed snem lub jakimś wydarzeniem, które całkiem pochłonie naszą uwagę. Nasz umysł, w przeciwieństwie do pustych haseł lub stwierdzeń, potraktuje je jak problem do rozwiązania i będzie pracował nad nim tak długo, aż znajdzie potrzebne odpowiedzi. Warto mieć więc listę z ważnymi dla nas zagadkami i niepewnościami, dotyczącymi naszej codzienności, z której codziennie możemy wybrać jedno pytanie i pozostawić je do przepracowania nieświadomej części umysłu lub zamieścić najważniejsze z nich na naszej Vision Board, co przyniesie jednakowy efekt. Jeżeli więc nie jesteśmy pewni swej przyszłości, możemy spytać: „Dokąd chcę zmierzać? Co chcę studiować?”, jeśli naszym celem jest ciągły

rozwój, pytania mogą brzmieć następująco: „Czego chcę się dzisiaj nauczyć? W jaki sposób mogę się dziś rozwinąć? Jakiej nowej rzeczy chcę spróbować?” - jeśli już rozumiemy zamysł, możemy postąpić podobnie w innych aspektach naszego życia i zobaczyć, czy przypadkiem odpowiedź „magicznie” nie pojawi się już wkrótce!

Spontaniczność przede wszystkim

Pamiętajmy jednak, że najcenniejszym i najbogatszym źródłem pięknych przeżyć, rozwoju i szczęścia nierzadko są sytuacje, których nie możemy w żaden sposób przewidzieć. Skoro już mamy na siebie jakiś pomysł, z którym konfrontujemy się, na co dzień zerkając na własny zbiór ilustracji i pytań, nasza podświadomość celowo będzie wyszukiwać dla nas okazji, które „popchną” nas w dobrą stronę. (Działa to podobnie, jak ponowne rozejrzenie się po pomieszczeniu, gdy ktoś nam powie, iż jest w nim dużo rzeczy w czerwonych barwach - nasz mózg skupia się na tym i wyłapuje ten kolor ze zwiększonym wysiłkiem, dzięki czemu rzeczywiście zaczynamy wierzyć w owo stwierdzenie.) Jednak to my sami musimy być gotowi podjąć rękawicę rzuconą przez los i działać na własny rachunek!

EMILIA RYNKIEWICZ – 3 A



Kryzys w Kazachstanie

W ostatnich tygodniach wiele można było usłyszeć o protestach w Kazachstanie. Informacje o nadpalonych samochodach, zrujnowanych budynkach czy tłumach ludzi szturmujących placówki rządowe w wielu miastach odbiły się szerokim echem. W tym artykule postaram się naświetlić sytuację w Kazachstanie.

Po odzyskaniu niepodległości przez Kazachstan w 1991 roku władzę w kraju przejął Nursułtan Nazarbajew, były sowiecki naczelnik Republiki Kazachstanu. W swojej polityce kierował się zasadami przede wszystkim rządów twardej ręki oraz do pewnego stopnia kultu jednostki. Duży nacisk kładł na utrzymanie stabilności w kraju poprzez wzrost gospodarczy i liberalizację ekonomii, ale z utrzymaniem pełni władzy. Gwarantował więc sobie rządy, w zamian za godną jakość życia obywateli i brutalnie tłumiąc wszelkie protesty. Nazarbajew dużo uwagi poświęcał budowie prestiżu Kazachstanu za granicą, przede wszystkim jako kraju wolności gospodarczej, otwartego na inwestorów z zagranicy oraz stabilnego politycznie. Warto tu wspomnieć że otrzymał on nawet Order Orła Białego.

Rządy następcy

Jednakże od w 2019 roku z powodów zdrowotnych Nazarbajew postanowił wycofać się z pierwszego szeregu ludzi u władzy i oddał stanowisko prezydenta Kasymowi Tokajewowi. Kazachstan był już wtedy w kiepskiej kondycji społecznej. Ludzie mieli dość ogromnych różnic majątkowych oraz wiecznej dyktatury, która od recesji w rosyjskim obszarze gospodarczym przestała im gwarantować jakikolwiek wzrost jakości życia. Apogeum tych napięć w Kazachstanie były protesty z 2 stycznia bieżącego roku, których bezpośrednią przyczyną był ponad sto procent wzrost cen gazu LPG. Przełamało to czarę goryczy i Kazachowie postanowili odebrać władzę ludziom rządzącym nimi od przeszło 30 lat. Na tę falę protestów zareagowała oczywiście błyskawicznie Rosja, która, razem z sojusznikami, uruchomiła około 2500

żołnierzy. Służą oni głównie jako ochrona rosyjskich gazociągów i kosmodromu w Bajkonurze. W samych protestach zginęły według oficjalnych statystyk 164 osoby, a Tokajew, za wszelką cenę chcąc utrzymać się u władzy, zezwolił nawet na strzelanie bez ostrzeżenia do protestujących.

Konsekwencje

Sytuacja w Kazachstanie pokazała pewne charakterystyczne zjawisko w polityce Rosji, mianowicie Władimir Putin za wszelką cenę chce utrzymać stary układ przy władzy. Gdziekolwiek u jego sojuszników pojawia się problem, natychmiast wysyłana jest bratnia pomoc, mająca na celu przywrócenie stabilności, no i oczywiście głębsze uzależnienie od Władimira Putina. Tak było chociażby w przypadku Białorusi, której prezydent Rosji nie szczędził wsparcia czy chociażby właśnie w Kazachstanie. Rodzi się pytanie, jak długo może to trwać? Warto pamiętać, że Władimir Putin ma już prawie 70 lat, a forma rządów wprowadzana przez rosyjskiego prezydenta z pewnością nie należy do najnowocześniejszych. Stworzył on wąską klikę dyktatorów, którzy wzajemnie pomagają sobie przy utrzymaniu sterów władzy, brutalnie likwidując wszelki opór społeczny. Z pewnością upadek tego rosyjskiego kolosa na glinianych nogach będzie wydarzeniem przełomowym, czas pokaże, jak sytuacja się rozwinie i kto wypełni próżnię po rosyjskiej strefie wpływów.

SZYMON MAZUREK – 3 A

Kreatywne doświadczenie

Cała branża twórczości artystycznej jest niesamowicie przewrotna. Trudno w niej mówić o wkuwaniu, bo jak można być wyuczonym kreatywności?

Gdyby to było takie proste, kreatywność już dawno byłaby przedmiotem szkolnym. Duża część wiedzy w sztuce jest zdobywana poprzez doświadczenie, które umożliwia nam przeżywanie i rozumienie dzieł, ponieważ zazwyczaj chodzi w nich o czucie. Dlatego mówi się o dwóch półkulach mózgu; ktoś myślący logicznie może mieć trudności ze zrozumieniem arcyzmu, ponieważ nie ma w nim... sensu. Jak w takim razie być dobrym w rysowaniu?

Sztuka to takie ciepłe bułeczki

Żeby nauczyć się czegokolwiek, potrzeba czasu i cierpliwości. Nikt nie stworzy nagle „Mona Lisy” oraz nie stanie się mistrzem kunsztu w jedną noc. Sztuka jest jak ciasto, jeśli zostanie wyjęte zbyt szybko z piekarnika, to nic z naszego wypieku nie będzie. Sama jestem niesamowicie niecierpliwa osobą i denerwuję się, jeśli od razu nie wpadnę na idealny pomysł na artykuł lub nie stworzę nagle malowidła mojego życia. Jednak właśnie z doświadczenia wiem, że pomysły są najlepsze, kiedy nie są wymuszone. Nie bez powodu nie ma wyścigów ze sztuki, a największym strachem uczniów ASP jest deadline. W sztuce nie ma szybkości, jest precyzja.

Zaprzyjaj się z procesem

To kolejna cecha, którą można odnieść do wielu dziedzin, jednak w sztuce jest szczególnie ważna. Na początku każde dzieło wygląda źle, w szczególności rysunki i innego rodzaju malunki. Zawsze najpierw powstaje sam pomysł i dopiero później go polepszamy. Personalnie mam często problem z nie-

poddawaniem w połowie, bo coś nie wygląda tak, jak chciałam, po pierwsze nigdy nie będzie takie samo, jak sobie wymarzyłam, a po drugie w sztuce wszystko powstaje po kolei, nie naraz. Sądzę, że proces jest godnym zaufania potworkiem i mimo że może zniechęcać, to jednak musimy się na niego zdać.

Zasady? Nie!

Najważniejszą zasadą w sztuce jest to, że zasad nie ma. Na wszelkie tematy dotyczące kreatywności, procesu artystycznego itp. można znaleźć miliony tutoriali, każdy ma swoje zdanie i często są one odmienne. Oczywiście, są rady, niektóre dobre i sama jestem w stanie polecić miliony dobrych filmów o pisaniu lub książki uczące, jak kolorować. Są one niesamowicie przydatne, mimo to trzeba pamiętać, żeby kurczowo nie trzymać się reguł i pomysłów innych, bo przecież w kreatywności chodzi o to, żeby nie myśleć tak jak inni. Żeby stworzyć coś odkrywczego, nie możemy słuchać się innych jak wyroczni. Nie ma przepisu na arcydzieło malarskie (chyba, że Vinci opracował też to). W arcyzmie chodzi o to, żeby myśleć poza pudełkiem, dlatego trzeba się nie bać i dać ponieść swojej fantazji. Jeśli wyjdzie źle, jest to właśnie proces zdobywania doświadczenia, uczenia się na sobie.

MAŁGORZATA PLEBAŃSKA – 2 C

**„POLITECHNIK JUNIOR”
WYDAWNICTWO AKADEMICKIEGO LICEUM
OGÓLNOKSZTAŁCĄCEGO WE WROCŁAWIU**

Redaktor naczelny: Maksymilian SKICA.

Zastępca redaktora naczelnego: Małgorzata WIECZORKIEWICZ.

Redaktorzy: Antoni ADAMCZYK, Bartosz KACZMAREK, Hanna KOŁOSIONEK, Szymon MAZUREK, Małgorzata NADOLSKA, Małgorzata PLEBAŃSKA, Nadine PFLUGER, Gaspar SEKULA, Emilia RYNKIEWICZ.

Fotoreporter: Daniel WITKOWSKI.

Skład komputerowy: Michał JAGODZIŃSKI, Dobrosław DĘBICKI, Jan PIOTROWSKI, Jeremiasz WIELEBA.

Opiekun: Wojciech WALCZAK.